Nr. 23. **Rok 14.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 5. Czerwca 1847.*

Objaśnienie rycin. — Pieśń Czeska. — Kilka słów o stanie obecnym literatury Polskiéj, a w szczególności o powieściach J. J. Kraszewskiego „Czasy Zygmuntowskie" i J. Korzeniowskiego „Kollokacya" (dokończenie). — Lesław, szkic fantastyczny. — Wiersze: Chmura na czole. — Doniesienie o śmierci Stefana Witwickiego. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.



Wojciech Dürer, statua Schwanthalera.

Objaśnienie rycin.

Jeżeli mowa o sławie dawnéj sztuki Niemieckiéj, niezawodnie wpadnie nam naprzód na myśl Albrecht Dürer, bo on w rzeczy saméj ze wszystkich artystów, których Niemcy wydały, najbogatszy co do talentu i wykształcenia. Lecz mimo swych wielostronnych zdatności i wiadomości, gdyż był gruntownym matematykiem, inżenierem, malarzem, rzeźbiarzem, snycerzem, rytownikiem i pisarzem, nie mógł dojść do zupełnéj swobody artystowskiéj, lecz prawie z uporem obstawał przy właściwościach form, jak niektórzy przy narzeczu, w którém wzrośli, i przy błędnych nałogach młodości. O jego zręczności nabędziemy wyobrażenia, jeżeli jego rysunki piórem zdziałane, albo miedzioryty, albo reliefy w drzewie lub kamieniu obejrzymy i z pracami poprzedników porównamy. Urodził się w Nürnbergu r. 1471, był uczniem Michała Wohlgemuth, od którego z resztą mało przejął, i umarł 1528 w mieście rodzinném, gdzie mu r. 1828 ze spiżu pomnik podług modelu Chr. Raucha wystawiono. Dürer był wskróś przejęty naturą Niemiecką i obywatelską wolnych miast, był otwarty, prosty, rzetelny, twórczy, pełen głębokich myśli i w pracy niezmordowany. Te rysy, oraz nieudolność wydobyć się z ciasnego zakresu artystycznego miał Schwanthaler na uwadze, kiedy z siebie wydobył statuę Dürera, a może i to sobie przypomniał, że artysta był

staranny w swéj powierzchowności, że zwijał włosy w długie kędziory, że się gustownie ubierał.

Jeżeli A. Dürer był najbardziéj utalentowany z Niemieckich artystów, moglibyśmy nazwać Holbeina najgenialniejszym. Nie był wprawdzie tak bogaty w fantazyą jak Dürer, lecz nie wstrzymywała go żadna zapora, a jego dzieła pokazują nam, że wszystkich manier, począwszy od pedantycznéj Górnoniemieckiéj, aż do śmiałéj Rzymskiéj, umiał ze swobodą użyć. Jego obrazy są pełne ognia; badawczém okiem spoglądał na naturę i życie, i dla tego przedstawiał charaktery nader jędrnie. Stósownie do jego humorystycznego usposobienia nie mógł żaden przedmiot dla niego być bardziéj pożądany nad taniec umarłych, w którym się jak w zwierciedle cała nicość potęgi ziemskiéj i rozkoszy światowéj odbija. Wierny starodawnéj pobożności, pojmował powieści biblijne w całéj prostocie, bez względu na kościół. To wszystko widać w posągu Schwanthalera a razem ujrzeć w nim można owego wesołego braciszka, który był w stanie wymalować na ścianie parę nóg lub powiesić na warsztacie parę bótów, aby ludzie mniemali, że on sam siedzi i maluje, gdy w rzeczy saméj siedział i pił w winiarni. H. Holbein urodził się w Augsburgu r. 1498, żył długo w Basel, a umarł r. 1554 w Londynie.

Marcin Schön, inaczéj Schongauer, nie wiadomo skąd rodem i dla tego nie małą było trudnością dla rzeźbiarza przedstawić osobę, o któréj tak mało mamy wiadomości. Co z pewnością o Marcinie Schön (którego także Hipsch Martin nazywano), powiedzieć można, jest to, że w roku 1488 w Colmar pochowany został, że się znajduje tam kilka jego obrazów w głównym kościele i w muzeum, skąd się dowiadujemy, że był uczniem malarzy Dolnoniemieckich, mianowicie Rogier'a Brügge i że był dzielnym i utalentowanym rytownikiem. Daléj mamy w Monachium w pinakotece (muzeum obrazów) jego portret, który uczeń jego Larkmaier w r. 1483 malował; jest tu wystawiony jako mąż 36letni, bez brody i w skromnym ubiorze. Nie wiadomo, dla czego Schwanthaler z tego nie korzystał.

Pieśń Czeska

(p. Workińskiego).

Tesme se sladkau nadegj,
Że se wrateg dawne casy...

1.

Cieszmy się nadzieją miłą,
Dawne czasy że znów wrócą:
I że z dawną znowu siłą
Czechy sławy pieśń zanucą.
Strój już Czeski każdy nosi,
I obyczaj święci dawny;
Piersią całą każdy głosi
Staro-Czeski okrzyk sławny:
Kochajmy się!
Miłujmy się!
Niedajmy się!
Wybijmy się!

2.

Pókąd w nas krew Czeska płynie,
Póki w piersi duch tchnie śmiały,
Sława Czeska nie zaginie,
Wzniesie głowę Lew nasz biały!
Wrogom naszym będziem grali,
Jak niedźwiedziom w lesie szkodnym;
Będąż oni tańcowali,
Gdy krzykniemy głosem zgodnym:
Kochajmy się!
Miłujmy się!
Niedajmy się!
Wybijmy się!...

R.

Kilka słów o stanie obecnym literatury Polskiéj, a w szczególności o powieściach J. J. Kraszewskiego: „Czasy Zygmuntowskie“ i J. Korzeniowskiego: „Kollokacya.“

(Dokończenie.)

— Józiu! — rzekła, chciałabym z tobą pomówić! —

— Chodź do mnie — odpowiedział brat — i wziąwszy się za ręce poszli na drugą stronę, otworzyli drzwi cichutko, przeszli przez pokój na palcach, żeby staruszków nie zbudzić, i usiedli na łóżku obok siebie. Amor położył się w nogach Anusi, a ona, wziąwszy rękę brata w swoje dłonie, rzekła tkliwie:

— Józiu! ty mnie o nic nie pytasz? tyś coś dla mnie obojętny i jakiś zamyślony. —

Zaczerwienił się młodzieniec na te słowa; stanęła mu w myśli jego dzisiejsza przygoda, wyobraziły się czarne loki, ciemne oczy błysnęły przed jego duszą, uczuł w swojém objęciu tę kibić wyniosłą i wietką, i mimowolnie westchnął.

— Ty wzdychasz mój drogi Józiu! — dodała siostra, ściskając jego rękę. — Przezwyciężył się młodzieniec, potrząsł głową i rzekł:

— Nie, moja Anulku! tak ci się zdało. Jestem cokolwiek zmęczony — drogę miałem niegodziwą. —

— A przecięż ładna twoja nietyczanka musi nieść lekko. Ale żebyś ty wiedział, jaka tu była scena o tę nietyczankę; jak się babunia rozgniewała, gdy dziadzio i ojciec mówili, że to będzie dużo kosztować, i że to tobie niepotrzebne. —

— Kochana babunio! — rzekł pan Józef znowu wzdychając. Tym droższym teraz będzie dla mnie ten powóz. Wierz mi Anusiu! dodał z przyciskiem, nie oddałbym go dziś za nic w świecie. Ale nie mówmy o tém. No, moja droga Anulku! tak tedy idziesz za mąż? —

— Podobno — odpowiedziała Anusia, spuszczając oczy i czerwieniąc się. —

— Jakże to było, powiedz mi. —

— Najprościéj w świecie — odpowiedziała panienka. Pan Ignacy przyjechał tu w czasie samych żniw z jakimściś interesem do ojca. Bawił pół dnia, i wkrótce postrzegłam, że na mnie poglądał i czerwienił się, co mię cokolwiek mięszało. Jakem mu po obiedzie podawała kawę, sama zaczerwieniłam się nie wiedzieć czego, i zmiarkowawszy to, byłam zła sama na siebie i jeszcze gorzéj zmieszana. W tydzień potém przyjechał posłaniec z listem. Ojciec przeczytawszy ten list, zawołał mamę, i potém poszli razem do babuni i posłali za dziadziem do ogrodu. Dziadzio z początku nie chciał iść, bo tam miał jakąś pilną robotę; ale mama sama za nim poszła, i dziadzio śmiejąc się i śpiewając piosneczkę o Jasiu i Kasi, poszedł także do babuni, i tam wszyscy długo z sobą rozmawiali. —

— A ty nie posłałaś dowiedzieć się, od kogo to posłaniec — przerwał uśmiechając się pan Józef. —

— Fe, Józiu! nie zawstydzaj mię — odpowiedziała panienka — kładąc rękę na jego ustach. — Ach! zgadłeś, zgadłeś, posyłałam, bo nie wiém, dla czego serce mi biło i nie mogłam się uspokoić. Prawda, żem nie powinna była być tak ciekawą. —

— To pan Ignacy temu winien, że się rumienił, gdy na ciebie patrzył. — Więc to list był od niego? —

— Naturalnie, że od niego — odpowiedziała żywiéj — ale mnie nic o tém nie mówiono. —

— A ty udałaś także, że niby nic nie wiesz — rzekł pan Józef obejmując siostrę. —

— Oczywiście, mówiła tuląc się do brata i włażąc z nogami na łóżko. — Ale słuchajże daléj. Przez cały tydzień potém ojciec, jak zwykle był poważny i nic po sobie nie pokazał. Mama częściéj mię karesowała, i uważałam, że przeglądała bieliznę i płótna w spiżarni; babunia ciągnęła *pasyans* i kabałę i zawsze mnie kazała karty zdejmować, a dziadzio coraz nowe śpiewał piosneczki. Aż tu raptem w następującą Niedzielę patrz, ni z tego, ni z owego znowu pan Ignacy przyjechał. Rodzice miło go przyjęli, dziadzio go uściskał i babunia także. —

— A ty zaczerwieniłaś się? —

— Okropnie, jak piwonia, aż mi wstyd było. Ale potém jakoś przyszłam do siebie, i jakem mu podawała kawę po obiedzie, już nic a nic nie zmieszałam się — tylko...

— Tylko co? —

— Powiedzieć ci prawdę? —

— Wszakże potoś tu przyszła, żebyś mi się wyspowiadała ze wszystkiego. —

— Otoż powiem ci, że mi bardzo miło było jemu usłużyć. I jak zmiarkowałam, że on u nas będzie nocować, to byłam bardzo kontenta, naprzód dla tego, że go jeszcze jutro obaczę, a potém, że nie będzie po nocy jechać, i u nas, na twojém łóżku lepiéj mu będzie, niż gdzie w karczmie u Żyda. Krótko mówiąc...—

— Krótko mówiąc — przerwał pan Józef — pan Ignacy podobał się panience. —

— Bardzo — odpowiedziała prędko i pocałowała brata. Ale pocałowanie było tak szczére, tak głośne, że się biedna przelękła, i kładąc palec na ustach, spójrzała ku drzwiom babki. Potém dodała: — Ach! ciszéj mówmy, bo mię babunia jutro wyłajać gotowa, że ci po drodze spać nie daję. Ona ciebie więcéj kocha, niż nas wszystkich razem. — Ale może ty doprawdy chcesz już spać? —

— Bynajmniéj, moja droga! Szczęśliwaś, że

kochasz i że jesteś kochaną, dodał z westchnieniem. —

— A czegoż ty wzdychasz? Józiu! ja ci powiadam, że to nie darmo. — O! ja się znam na tém; ty musisz także kochać. —

— Roi ci się. — Nie, nie, moje życie — odpowiedział drżącym i cichszym głosem. —

— Mów, co chcesz, a to nie prawda. Ale nie dziś, to jutro, a przecież dowiem się. Bo nie wytrzymasz, powiesz mi; to tak miło pomówić o tém, co serce czuje. — Ja czekałam twego przyjazdu jak zbawienia. —

— Dawnoż ci się pan Ignacy oświadczył? —

— Oświadczył? On mi się wcale nie oświadczał. Już na drugą Niedzielę jak przyjechał, tośmy tak z sobą rozmawiali, jak gdybyśmy się znali od niepamiętnych czasów. A jak wyjeżdżał już we Wtorek, ścisnął mię za rękę i powiedział: — Czy panna Anna pozwoli mi przyjechać w Niedzielę? — A ja podobno także ścisnęłam go za rękę i odpowiedziałam: — A jak pozwolę, to pan pewnie przyjedziesz? — Chybabym umarł — rzekł, i popatrzył mi w oczy tak miło, że aż mi się płakać chciało. — Widzisz Józiu! ty znowu wzdychasz? —

— Nie, nie — cóż daléj. —

— A cóż? na drugą Niedzielę pan Ignacy jak wyrósł w Czaplińcach. Po śniadaniu wszyscy poszli do babuni i on tam poszedł; a ja niby to nie wiedziałam po co. Potém i mnie zawołali. Dziadzio zaczął mnie ściskać, śmiać się i płakać, i zapytał mię, co też ja myślę o tym panu, który tu stoi spuściwszy nos na kwintę? —

— Cóżeś odpowiedziała? —

— Zawstydziłam się bardzo, schowałam twarz na piersi dziadzia, a ręka moja, sama nie wiém, jak znalazła się w ręku pana Ignacego. Ach! mój drogi Józiu! co to była za szczęśliwa chwila! nawet w oczach ojca widziałam łzy. A o mamie, to już niéma co mówić. Kiedyśmy jéj do nóg upadli oboje, ściskała nas i płakała biedna, że aż ją babunia połajała. Potém wyobraź sobie, przy obiedzie siedzieliśmy już przy sobie, i cały dzień gęba się nam nie zamykała. — Ale ty już drzymiesz Józiu? —

Pan Józef nie drzymał wcale. Przechylił on głowę na tył, oparł ją o chłodną ścianę, a z pod przymkniętych jego powiek łzy się wytoczyły i popłynęły po twarzy. Anusia postrzegła to, pokiwała główką, ale tą razą już mu się nie uprzykrzała pytaniami. Potém pomyślawszy, rzekła nieśmiało:

— Słuchaj Józiu! ja ci chciałam jedno zrobić zapytanie i nieśmiem. —

— Dla czego nie śmiesz? —

— Bo widzisz mój drogi! w niém zamykać się będzie jakaś wątpliwość, która może ubliży temu, którego kocham, i którego mi dają rodzice. Ale ja tobie tak ufam! tyś taki dobry, taki rozsądny! ty mię tak kochasz! — powiedz mi Józiu szczérze, czy ja będę szczęśliwą! —

— Będziesz, będziesz moja Anulku! — rzekł, ściskając ją z wylaniem. Pan Ignacy człowiek uczciwy, rozsądny, kocha cię pewnie, bo jakżeby ciebie nie kochać? Największa moja obawa była, czy ty go kochasz. Ale i w téj mierze zaspokoiłaś mię zupełnie. A nadewszystko cieszy mię to, że pan Ignacy równy tobie urodzeniem i majątkiem; a to ważna rzecz moje życie — dodał ściskając mocno jéj rękę. —

— A tyś pewnie pokochał jakąś osobę bogatą! nie prawdaż? — biedny bracie! —

Powstał pan Józef, zrobił parę kroków, ale spojrzawszy na drzwi babki, zatrzymał się, wrócił nazad na palcach i uściskawszy serdecznie siostrę, rzekł cicho: — Idź już spać Anulku! —

Anulka poszła cichutko, oglądając się smutno na brata. On rozebrał się, położył i — chciał zasnąć. Ale sen daleko odbiegł od jego oczu. Stanął przed niemi cały obraz walk, na jakie się narazi, jeżeli da się pokonać słodkiemu uczuciu, które się zagnieżdżało w jego sercu. Czuł zaś, że zwycięstwo będzie trudném, ledwie niepodobném. Obraz szczęścia siostry rozmarzył go do reszty. Opisanie zaś proste téj chwili, kiedy jéj związkowi błogosławili rodzice; kiedy dziad i babka żegnali ją sędziwą swą ręką, napełniło serce jego śmiertelną obawą, że i starcy zganią jego zapędy; że ojciec nie zaaprobuje ubiegania się o rękę panny, która, jeśliby nawet weszła pod dach ślachcica, to wejdzie z dumą i pretensyami pańskiemi. Z drugiéj strony byłże pewnym jéj uczuć? może już i zapomniała o młodzieńcu, do którego uśmiechała się słodko, którego ścisnęła za rękę. Ale któż wie, nie byłaż to z jéj strony kokieterya, lub prosta wdzięczność za uczynioną przysługę? Panna tak ładna, tak bogata, mogłaż do téj pory nie mieć nikogo, co-



Jan Holbein.



Marcin Schön.

Posągi Schwanthalera.

by się ubiegał o jéj miłość? Prosiła go wprawdzie, aby odwiedził jéj ojca. Ale to mogło tylko dowodzić jéj grzeczności; a jeżeliby nawet było oznaką tkliwszego uczucia, pod jakimże pretextem przestąpić ten próg dla niego zakazany. Jak powiedzieć ojcu, że chce zabrać znajomość z bogaczem, którego on nie szacował, kiedy znał surowość jego zasad i niezachwiane postanowienie niebratania się nigdy z wyższym od siebie. Wszystkie te myśli tłumnie krążyły po jego głowie, i ledwie przede dniem ciało wzięło górę i sen zamknął jego powieki.

Lesław.

W księgarni Ludwika Putiatyckiego w Pleszewie i Ostrowie wyszedł w tych dniach szkic fantastyczny Romana Z.., pod tytułem: *Lesław.* — Donosząc o wyjściu tego utworu przytaczamy tu zarazem treść jego i zdanie o nim przez Edwarda Dębowskiego w Tygodniku literackim na rok 1843 umieszczone.

„Osnową poematu jest charakter Lesława poetyczny, wielki. — W łagodnéj jesiennéj nocy błąka się Lesław po nad Wisłą, — tam spotyka go Nieznajomy; ich rozmowa uderza siłą charakterystyki i mową wyrobioną i jędrną.

Nieznajomy.

Za chwilę kogut na północ zapieje,
Co chwila chłodniéj wilgotny wiatr wieje;
Tak samotnego i o takiéj porze,
Cóż na tém miejscu trzymać ciebie może?

Lesław.

Samotna cisza, rosą jest krzepiącą
Dla duszy zgiełkiem niestrojnym znużonéj,
A kto rozpalił w piersi swojéj własnéj
Słońce dla siebie, dla tego dzień biały,
Równo z nocą chmurną, jasny.

Nieznajomy.

Witaj mi więc! Po pierwszy raz
Spotkany, witaj znajomym mi!

Początek podobny już świadczy o sile twórcy; śmiałym zwrotem uderza nas od samego zaczęcia piewca i utrzymuje w napięciu ciągłych uniesień. — Nieznajomy tak wyjaśnia swoje słowa, zapytany od Lesława o przyczynę ich wymówienia. — (Nieznajomy, jak się póżniéj wykazuje i jak się tu domyśléć można, jest Szatanem.) —

Nieznajomy.

Bo z twoich słów
Poznałem to, co najzacniejszego
W duszy twéj: — to, coć przywiodło tu.

Lesław.

Cóż?

Nieznajomy.

Duszy twojéj tajne pragnienie,
Nieukojone gwarem świata czczym.
Przyszedłeś w cichéj nocy pokoju
Swobodnie dumać; . . . .
. . . . tajemnych dróg
K' mądrości badać. Witaj mi więc!

Lesław wyrzeka na nikłość mądrości: — jéj szczebel najwyższy, mówi, w bezdennéj piekieł otchłani się wsparł.... wartoż się piąć nań? — Ale Lesław jest dumny, wié to Nieznajomy — i pochwytuje:

„I tyżbyś nie znać miał, że żadna cena,
Nawet wieczności — nie jest wielką zbyt,
Jeżeli za nią można kupić wielkość.“

Tém, jak w strónę uderzył w duszę Lesława, — tu cała jego ognista wybucha dusza. —

„Wielkość! — Potężne, czarodziejskie słowo!
Jakaż młoda pierś od jego dźwięku
Nie zadrzy wszystkich strón cudowną mową,
Jak harfa w mistrza ręku.

O wielkości! ja czczę cię — i tyś nie obcą mnie,
Ni przyzywać mi cię trzeba mądrością.
Jam nad mędrców stokroć wielki — miłością,
Co w sercu mojém tchnie.“

Lesław kocha, kocha młodzieńczo — wrząco, ale nie jednę kobiétę: on całą ludzkość miłuje.

„Tam, gdzie ślepnie blask słońc drogi mlecznéj,
Serce me tam jasnemi wystrzela promieńmi,
I światy, na kończynie światów ostatecznéj,
Promiennémi ima uściśnieńmi.
Wszystkich ludów niezliczone miliony,
Niebo, ziemię, przyszłość, przeszłość zamgloną,
Cały ogrom życia w wieczności rzucony,
Obejma kochające me łono.“

Dla tego inną razą widzimy Lesława, zbłąkanego na wzgórzach, jak wyciąga ramiona, aby w nie cały świat objąć; ale ramiona na własną pierś jego spadają, „jak kamień w niebo gwiaździste rzucony w skroń zuchwałą.“ — Lesław mówi daléj w uniesieniu półrozpaczném:

. . . . „Gorące zaklęcia,
Z dzikim rozdźwiękiem w proch się rozsypują
O zimne piaski i zimniejsze serca!..“

W téj chwili rozstępują się obłoki i niebianka Dziewica-Chmura ukazuje się, — określenie téj rajskiéj istoty jest cudne. — Lesław pada w jéj objęcia . . . . Lecz kto dotknie ust Dziewicy-Chmury, ten niechaj się nie zbliża do żadnéj ziemianki, bo w chwili gdy ją uściśnie, grom z nieba śmierć ziemiance zada.... Lesław uścisnął Helenę i — grom śmierć jéj zadał.

Rozwinięcie charakteru Lesława jest wyborne; Heleny mniéj zupełne. — Miłość Heleny ku Lesławowi, — któréj na próżno opiera się ostatni, gdyż mu lubczyku zadano, — określona mistrzowsko. Sceny Czarownic i Topielców, z mniemań ludu genialnie wysnute. —

Po śmierci Heleny, Lesław w okropném przerażeniu błąka się — i tu sceny rozwijające zupełnie jego charakter następują. — Lesław spotyka nieznajomego; oto część ich rozmowy: (Noc trzecia, scena 1sza.)

Więc tylko swego niepoznanie bytu,
Rozkoszy bytu używać dozwala. —
Zaiste, smutny, hańbiący to los! —

Niech jak chce straszne przeznaczenie będzie,
Jakie bądź kaźni zdolna na nas zwalić
Świadomość, w mękach wznosi ona ducha;
Chroniąc od cierpień, poniża ślepota. —
I kto bądź jesteś, dzięki ci! żeś mgłę,
Tajnie stworzenia kryjącą mi zwiał.
A choć przed słów twych piekielną jasnością,
Wszystkie radości uciekły niezwrotnie, —
Dzięki ci przecież! —

Nieznajomy.

Także to wysoko
Cenisz twą rozkosz, — słaby zlepku błota! —
Najmniejsza iskra, w popiele tlejąca
Zgasłego ognia, bliższa blaskiem słońca
Południowego, niźli szczęście ziemi —
Całe, przez mnogie bytu jéj stulecia —
Wesela niebios najbystrzejszéj chwili.
Na łonie tego wesela jam żył.
Ani morderstwem żyć mi było trzeba; —
Duch, moc i życie czerpię z siebie sam.
Przecież, gdym ujrzał nowo wstały świat,
I wyrok srogi niewinnie nań dany,
Bluźnierczy krzyk mój przedarł się przez dźwięk
Pień uwielbienia, wśród głosów miliona.
I dziewięć chórów wnet, najślachetniejszych
Duchów, zagrzmiało tym samym okrzykiem.
I —— Wszystkiéj ziemi świadomy los nasz. —
Inne, poślednie chóry, pozostały,
Trwogą posłuszne nucić pieśni chwały, —
Myśmy upadli w mrocznych piekieł żar.
Wieki cierpiałem, — wieczność cierpieć będę,
Przecież straconych niebios mi nie żal!

Żaden piewca, zaiste, tak olbrzymiego pojęcia szatana i szatańskości nie objawił. Wielkość tego ustępu ledwie się da objąć — jakiéjże potęgi trzeba było do jego stworzenia?.... Szatan zapada w piekło; Lesław pozostaje.

Lesław.

I jam w płomieniach. — Niezajrzaném kołem
Ogień piekielny ogarnia mię, piecze —
Czemuż nie spali?! . . . . . .

Widzimy następnie Lesława o północy na smętarzu. — Z biciem dwunastéj powstają upiory i śmierć jawi się Lesławowi. — Uchodzi z straszliwego miejsca, — lecz wszędzie go śmierć ściga, mówiąc, że wiecznie jéj służyć będzie, wiecznie żyć życiem cudzém — bo i trupy w grobie żyją. — W ten czas on we wściekłości i rozpaczy woła:

O nieśmiertelny! płomienny mój duchu!
Twojeżby skrzydła tak słabe być miały,
Byś raz wepchnięty w ten kipiący wir
Bytu — zniszczenia, więcéj niemógł już
Wybić się z życia zaklętego kręgu?
O rozwiń orle loty twoje! — wzleć!...
Rozświéć mrok nocy — schronienie mi wskaż
Przed niezbłaganém przeklęctwem jestestwa —
Wskaż: — ja się rzucę, chociażby i w piekło...

Piekło! ha — zatém piekło! Straszliwy to kraj!
Przecież, gdy tylko w niém jedném ucieczka —
Piekło mi stanie za raj.

Lesław przyzywa więc szatana, a to jego wezwanie jest pełne poezyi: —

Szatanie! czarcie! aniele strącony, —
Czy jak się zowiesz! — ja wzywam cię!
Na zgrozę tę, co ci nie dała
Rozkoszy niebios używać, a mnie
Samemu sobie zbrzydziła — i z tobą
Okropnym swoim węzłem pobratała —
Przyzywam ciebie! otwórz wrota twych
Posępnych krajów, schronienie mi daj
Przede złowrogiéj przeklęctwem potęgi!....
Djable, tryumfuj dobrocią z jéj mocy,
Jako ona z ciebie siłą!

Szatan w postaci okropnéj, potępieńczéj ukazuje się: — tu pojęcie piekła znowu olbrzymie.

Szatan.

Jestem! — Wrota otwarte. — Do mojego państwa
Wolne wnijście każdemu, kto chce i kto śmie.
A w kraju tym nié ma poddaństwa.
Miarą wielkości, miara w niém cierpienia;
Korona piekieł z płomienia.....
Więc jeżeli ci nie strach piekła, — jeśli w twych
Piersiach gorze żar taki, że płomieni tych
Czuć ci nie da spieki — wchódz! —

Napróżno śmierć stara się Lesława wstrzymać; jéj groźby i obietnice odrzuca dzielną pogardą:

Przeklęte dary twoje i ty bądź przeklęta! —
Idź łudzić niemi
Podły proch ziemi, —
Nikczemnych, co w chuci pęta
Tak splątali swego ducha,
Że już więcéj nie zdolny orlim wzlecieć lotem,
Pył ziemi skrzydłami zmiata,
Karmi się błotem,
I nie pomni, nie wié o tém,
Że z jestestwem całém świata,
Jestestwo jego węzłem braterstwa się splata....

I Lesław rzuca się w otchłań piekła, z powitaniem kończącém cały poemat...

Męczarń żary nieśmiertelne,
Otchłani piekielne!
Witam was!!..

Olbrzymiość pojęcia i pomysłu Lesława tak jest ogromną, że jéj tu określać nie potrzebujemy. Treść też i wyjątki z tego poematu lepiéj charakteryzują poezyą Zmorskiego, niżby to uczynić mogły jakie bądź słowa nasze....

D.

Chmura na czole.

Ja nienawidzę tych czół pogodnych,
Jak gnuśne we stawach wody; —
Tych lic rumianych, a takich chłodnych,
Gładkich jak zimowe lody.

Ja lubię widzieć, gdy twarz młodzieńca
Podarta boleści radłem,
A smutku chmury wkrąg, nakształt wieńca,
Nad czołem wiją się zbladłem.

Bo chmura smutku — posępna, czarna —
Znać daje, że tam nie śpiąca,
Ale jest dusza myślą ciężarna,
Uczucia burzą kipiąca.

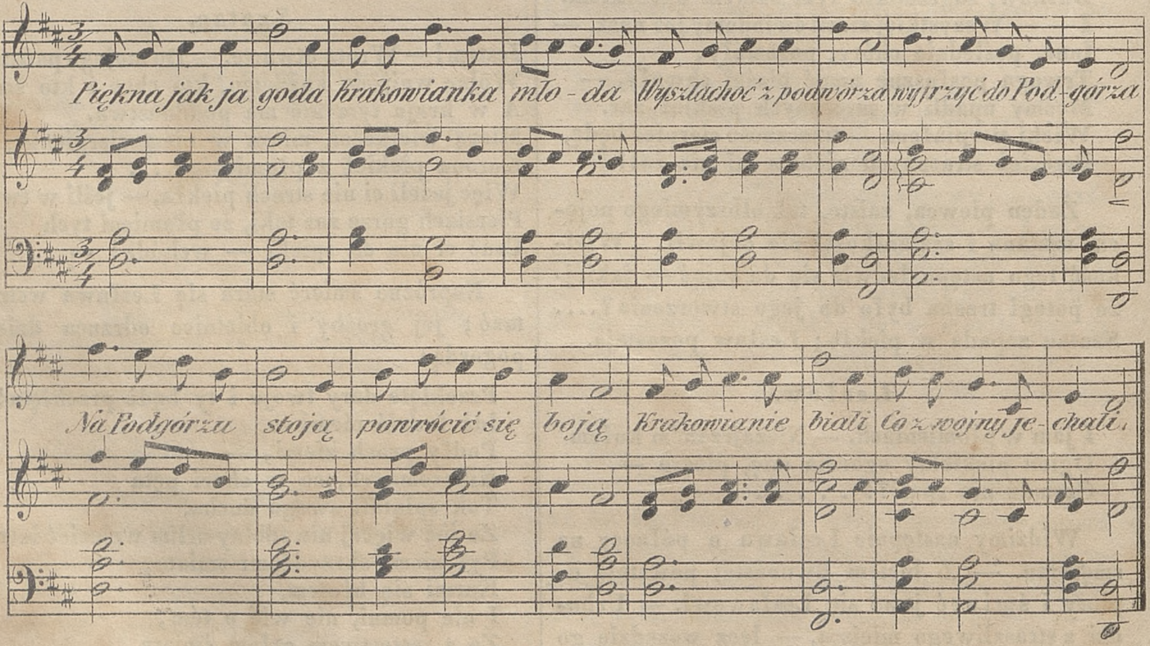
O! bo niech tylko nadziei słońca
Promień jéj łona dosięgnie,
A z chmury tęcza wybłyśnie lśniąca,
I niebo ze ziemią sprzęgnie.

O! bo w téj chmurze śpią gromy jasne,
Co nie jeden bałwan zwalą,
I szranki życia rozbiją ciasne,
I świat płomieniem zapalą.

Roman Z.

Znowu poniósł kraj nasz, a razem literatura, wielką stratę. Dnia 19go Kwietnia r. b. umarł w Rzymie Stefan Witwicki, mąż znakomity, znany równie z swych uczuć patryotycznych, jak prac literackich. Nadmieniam tylko *Wieczory Pielgrzyma*, a każdy sobie przypomni, jaki wpływ jego pisma wywierały.

№197. MAZUR.



Text do Nru. 197.

„Piękna jak jagoda," i t. d.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański*.)